

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

NA GWIAZDKE.



Nad Betleem błysła zorza,
Przeniknęła światy —
Opromienia lądy, morza,
Pałace i chaty.

W żłóbka leży cud Dziecina,
Zbawca świata mały —
A nad żłóbkiem chór aniołków
Nuci hymny chwały.

Radują się pastuszkowie,
Królowie się cieszą,
Do stajenki, do ubogiej,
Wszyscy społem spieszą.

Wszyscy społem pokłon dają,
Wszyscy niosą dary,
Z życzeniami serdecznymi
Spieszmy młody i stary.

Wśród ogólnej tej radości,
Tak mknie do was ktoś?
Ach, to innych chce wypędzić
Dziś wasz „Anioł Stróż.

Bo dla dzieci swych kochanych
Życzeń ma tysiące —
Jak łąza szczere i prawdziwe,
Wzruszeniem iskrzące.

On o drzewko cudnie strojne
Prosi anioleczką,
A Jezusa — by pociechę
Miała z was mateczka.

A Marye, by w pokoju,
Cichej pracy siłą
Zdobyć kiedyś dozwoliła
Wam ojczyznę miłą.



Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy)

XX.

Można też sobie łatwo wyobrazić, z jaką niecierpliwością i zarazem z jakim niepokojem pan Kaliński wyczekiwał powrotu kapitana z Marsylii. Wreszcie jednego dnia wpłynął do portu pożądany okręt.

Pan Kaliński nie czekając na wylądowanie kapłana, który musiał czekać aż podróżni wysiądą i towary wylądują, kazał się łódką przewieźć na pokład statku.

Kapitan powitał go serdecznie, ale jakoś sam nie wszczynał rozmowy o Drzewińskim.

Niedobre przeczucie zbudziło się w duszy pana Kalińskiego. Nie mogąc już dłużej panować nad sobą, zapytał:

— Cóż, dowiedziałeś się czego, kochany kapitanie?

— Dowiedziałem się — odparł kapitan i zawahał się, spoglądając na Jasia.

Lecz uwaga chłopczyka była zwrócona na podróżnych, przesiadających się do łodzi, tak że panowie mogli swobodnie prowadzić rozmowę. Nie lekając się, aby ich Jasio usłyszał.

— Z miny twojej, kapitanie, wnoszę, że nie oznajmisz mi nic pomyślnego — zaczął pan Kaliński.

— I nie mylisz się, drogi panie — odpowiedział ze smutkiem kapitan. — Nie ulega wątpliwości, że Drzewiński nie żyje.

Mimowolny okrzyk bólu wyrwał się z ust pana Kalińskiego.

— Co się panu stało? — zawołał przestraszony Jasie, zwracając się do pana Kalińskiego.

— Nic moje dziecko — odparł opiekun Jasia, siłąc się na spokój — uderzyłem się w nogę.

Uspokojony Jasie zwrócił się znowu w stronę łodzi, które odpływały od okrętu, uwołąc za sobą podróżnych. Pan Kaliński zaś zaczął wypytywać kapitana:

— Opowiedz-że mi pan szczegóły, gdzie i kiedy się to stało? Jak dawno?

— Otóż rzeczy się tak miały: Ojciec pańskiego wychowanka zapragnął z bogactwem się w Ameryce i w tym celu wycofał, i na własne ryzyko udał się do New-Yorku. Przynajmniej tak należy się domyślać. Fakt, że płynął na okręcie, który się rozbił na oceanie Atlantyckim, nie ule-

ga najmniejszej wątpliwości. Czytaliśmy o tem wzmiankę tu w Tryeście i potwierdzenie tej wiadomości odszukałem w biurze, w Marsylii. I tam także piszą, że z załogi mało kto się uratował, ale nie wymieniają nazwisk osób, które uniknęły śmierci. Odwagi panie Kaliński — dodał pocziwy kapitan — może właśnie ojciec Jasia znajduje się w pośród uratowanych.

— Dziękuję za słowa pociechy. Nie o mnie tu chodzi, ale o tego biednego sierotę, który już dawno utracił matkę, a teraz znów w tak okropny sposób miałby stracić ojca.

— Pan zastąpisz mu ojca — odpowiedział z głębokim przekonaniem kapitan.

— Bez wątpienia, że postaram się o to, aby Jasie nie uczuł swego sieroctwa — odrzekł z uczuciem pan Kaliński. — Ale chłopiec jest bardzo uczuciowy, pewnie głęboko odczuje swą stratę.

— Będąc na pana miejscu, niebym mu jeszcze nie nie mówił — radził kapitan — ktoś wie, a może jeszcze Drzewiński żyje? Może go los zapędził w taką stronę świata, że nie może nikomu dać znać o sobie?

— Zapewnie, że lepiej nic nie mówić Jasio- wi! Na złą wieść zawsze jest czas — dodał pan Kaliński. I uściśnawszy dłoń kapitała, oddalił się, prosząc, aby tenże odwiedził go w hotelu.

Jasie, nie domyślając się niczego, był wesół i wciąż zapytywał swego opiekuna o to lub owo. Pan Kaliński odpowiadał mu z dobrocią, lecz namyślał się nad tem, czy w dalszym ciągu prowadzić poszukiwania, czy też zrezygnować i wracać do kraju?

— Dziwna rzecz — mówił sobie w duchu — że w biurze, gdzie pracował Drzewiński, nie o nim nie wiedzą, a przynajmniej nie wiedzieli do chwili mego wyjazdu z kraju. Muszę jeszcze do nich napisać, a może Bóg da, że wpadnę na jakiś ślad... Chciałbym również zabezpieczyć te pieniądze, które wygrał ojciec Jasie, a być może w tym celu będę zmuszony wyjechać do Berlina.

I młody i niepewny, siedział długo w noc nad listem, który postanowił wysłać do firmy, gdzie ongi pracował pan Drzewiński.

Pan Kaliński, znużony i smutny, położył się późno tej nocy i po chwili zasnął mocno.

Wkrótce atoli zbudził go ze snu niezwykle jakiś hałas.

Usiadł na łóżku i zaczął nasłuchiwać.

Szum ogromny pochodził z daleka, to rósł i potężniał, to znów przycichnął chwilami, aby na-

stępnie wybuchnąć z tem większą gwałtownością.

— Coby to być mogło? — zapytywał się w duchu dobry opiekun Jasia. — W nocy nie ma przecież tak wielkiego ruchu w ulicach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W noc grudniową.

(Dokończenie.)

Obejrżeli się wszyscy.

Z gestwiny wysunęła się szara masa i stanęła opodal grobli na lodzie.

— Wilk! — krzyknęły panny dzikim głosem.

Danilko milczał, trzymając mocno chrapiące konie.

Z gąszczów wysunęła się druga szara plama, potem trzecia i czwarta. Skupiły się, zaskomlały jak psy i truchtem poczęły biedz śladem sanek niedaleko.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnał się półgłosem Danilo.

— Uciekajmy! — krzyczały panny, prostując się pomimo mrozu, rzucając z głowy okrycia, oglądając się za siebie. Wilki się rozdzieliły. Dwa szły jedną stroną drogi, dwa drugą — równały się już z sankami. Konie pędziły jak wiatr; wilki dotrzymywały kroku, co czas jakiś nawołując się przeciągłym, złowieszczym skowytom.

Danilko wiedział, że wilcze nogi wiatr dogonia; wiedział, że do Gajowa jeszcze mila.

Konie prawie niosły, a bestye nie zostawały w tyle, owszem dobiegały sanek.

— Panuńciu! — zcicha, głucho zwrócił się do starszej panienki.

— Co? — spytała prawie nieprzytomnie.

— Weźcie lejce!

— Co takiego?

— Weźcie lejce. Konie drogę znają, pod ganek was prosto zawiozą. Nie trzeba kierować.

— A ty czemu trzymać nie możesz?

— Ja pójdę na wilki. Zostanę się, to i one się od was odczepią.

— Dalibóg!

— Co ty gadasz! Co ty robisz!

Porwała go za koźuch, bo już jedną nogą, był na ziemi, zsuwając się z sanek.

— Tak po sprawiedliwości — odparł. Namówilem ja was na tę drogę, będę sprowadził toć sam naprawić muszę!

Weźcie lejce!

Oprzytomniały obie i nie dbając już o bestye, porwały go i trzymały z sił całych.

— Zwaryowałeś! Nie ruszaj się! O Boże! dzwonić trzeba!

— Nie ma dzwonka! — odparł, szamocąc się.

— Światło zapalić!

— Siarczyków nie wziąłem! Taki ja winien.

Dalibóg pójdę.

— Nie pójdziesz! Krzycz, hukaj, może się zlekna.

To mu się spodobało.

— Aha, ahu! Ahe, ahuuu! — wrzasnął z całych płuc,

— Aha, ahu! — zawtórowały drżące, słabe głosy.

Wilki dobiegały — konie stanęły raptem, odeskoczyły w bok.

Wówczas biedni podróżni zaczęli wyć, skomleć, wrzeszczeć z całych sił, ze zgrozy, ze strachu. Potem ochrypli, wyczerpani, zawodzili, niesfornie, fałszywie, strasznie.

Konie rozhukane niosły, stuliwszy uszy, chrapiąc i wierzgając.

Wilki szły za nimi, ale wolniej, dalej po łąkach błyskały zielonawe ich ślepie.

— Boże! ratuj nas! — jęczały panienki.

— Śpiewać, panuńcio, śpiewać! — zdyszany, rozgorączkowany, krzyknął Danilo.

I chrypiąc, zacinając się, fałszując, jął ryć przed siebie, niż śpiewać, wyuczona niegdyś od „dziecka kantyczkę.

A wczora z wieczora, a wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora, z niebieskiego dwora,

Przyszła nam nowina...

Wpadli z grobli na pola, na łąki, między olszynke,

Szalony pęd rzucił sankami. Śnieg z pod kopyt bił jak śrutem.

Chłopak nad końmi pochylony, nieprzytomny-

bez czapki, śpiewał resztkami głosu; kobiety, leżąc na spodzie sanek i trzymając się ich konwul, syjnie, pomagały mu, jak mogły.

Aż wreszcie Daniło zachrapał tylko i, czując się oniemiałym, obejrzał się desperacko w stronę straszego pościgu.

Ale za sankami były już tylko białe gestetumany, bezbrzeżna pustka i noc. Ni szarych plam, ni zielonawych iskier — nic...

I raptem zmieniona twarz Daniłka zadrżała, skureczyła się i z za zsiniałych warg zabielały zęby.

— A bacz! — wyszeptał bez dźwięku. — Ja taki mówił, że oni Cyganów i krawców biorą. Ot jak posłyszeli, co my chrześcijanie, wzięli i poszli. Licha ich mać!...

Po chwili dodał:

— A ot i doma jesteśmy. W imię Ojca Syna!...

Wio, gniada, dostaniesz świętego siana. Uhl jak tu zaraz na dziedzińcu olej pachnie i pierogi. Ja taki mówił, co drogi nie zmylę, tyło co paniuńcie krzyne się zlekły...

Przez całą wieczernę i pół wieczora opowiadały panienki wujostwu swą przygodę.

Gdy przed sienią ozwał się dzwonek i skrzypki koledników, wszyscy wylegli ich słuchać i zobaczyc Daniłka — bohatera.

Stał na samym froncie. Nie miał nawet czasu się okrzatnąć. Miał na sobie ten sam potargany kożuszek, na nogach postoly słomą wypchane, na twarzy ten sam dziecinny, dobroduszny uśmiech.

Znać tylko było po nim, że misa klusek, druga zupy grzybowej, trzecia gruszek, czwarta pęcaku, cały śledź, pieróg i półkwaterek odrestaurowały go po poście i strachu. Świeciły mu się oczki małe, błyszczała twarz czerwona, nabrzmiiała od mrozu.

Na widok państwa poklonił się nisko, obejrzał się po towarzyszach i zaintonował:

A wczora z wieczora,

Z niebieskiego dwora,

Przyszła nam nowina...

Odśpiewali, kolejno przystępowali do poczęstunku.

— Daniłku — zawołała młodsza panienka wesolo — inaczej śpiewaliśmy na saniach.

— Inaczej panuńciu? — zapytał.

— Ano, gorzej szło.

— Ktoby ta wilkom szelmom lepiej się starał! — odparł zuchwało.

— Ale co tej koledy, to chyba nigdy nie zapomnisz?

— I wilki się nauczyły, panuńciu?

Półkwaterek do rąk wziął, panu się do kolan pokłonił:

— Daj Boże doczekać w szczęściu zdrowiu Nowego Roku; a po Nowym Roku Trzech Króli, a po trzech Królach daj Boże panu w szczęściu, nam w zdrowiu za rok koledy się doczekać!

Wypił, kieliszek odstawił i, wszystkim ręce ucałowawszy, na towarzyszków skinął.

W mróz, w śnieżycę, ku wsi koleda biegła:

Rodzi jedynego,

Boga prawdziwego,

Za wyrokiem boskim

W Betleem żydowskiem.

Aby do końca utrzymać się w prawdzie, musimy wyznać, że Daniłko-bohater był pijany tej nocy, jak każdy pospolity śmiertelnik.

Rodziejewiczówna.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 51.

I.

- 1) Szwecya,
- 2) Tryest.
- 3) Arabia.
- 4) Rosya.
- 5) York nowy.
- 6) Swieo.
- 7) Australia.
- 8) Czarnn morze.
- 8) Zelandya.

II.

Kości—uszeko.

Dobre rozwiązanie I i II łamigłówek z nr. 51 „Anioła Stróża” nadesłał Jan Szulc z Poznania.

Dobre rozwiązanie z nr. 50 nadesłali: Leon Pawelczyk z Paczewa, Augustyna Jagalska z Sławoszyna, Paweł i Wawrzynies Miotk z Różnego Dąbu, Augustyn Kujawski z Łęgu, Jan Zieliński z D. Dąbrowej, Leokadya Litewska z Skurcza i „Az.” z Gdańska.